



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Swiat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

TEORIA I PRAKTYKA

W ZAWODZIE NAUCZYCIELSKIM.

(Dalszy ciąg.)

Dziecko do cnoty przyzwyczajając, ucząc jej pełnienia w biegu codziennych życia zdarzeń, jest to wdroyć je do niej najsilniej, bo staje się to wtedy nawyknięciem, powstałem z takiego skierowania uczuć i myśli młodych, że już potem człowiek z trudnością tylko inaczej zwrócić je może. Ulega się wtedy pewnym wzruszeniom serca i umysłu niemal że bezwiednie i napozór instynktownie; nie potrzebujemy zgola namyslać się i rozumować, pełnimy dobro jakgdyby z popędu wrodzonego i niby bez samowiedzy. A jednak w gruncie rzeczy tak nie jest, bo człowiek, ogółem brany, jest istotą rozumną, tylko tak dawno już i tak głęboko przyjęliśmy postępowanie podobne za obowiązki, za powinność naszą, że wszelkie namysły, wszelkie zastanawiania się, są już dla nas rzeczą nadpotrzebną i nawet niemożliwą. Nie rozmyśla się nad tem, co w pojęciu naszym przedstawia się jako pewnik, prawda dowiedziona i niezbita: to też tego rodzaju wyrobienie moralne przez wychowanie człowiekowi dać, znaczy uposażyć go w zasady postępowania stale. Henryk Marion, myśliciel i pedagog francuzki, w *Kursie moralności* wykładanym w *Normalnej Szkole Wyższej Nauczycielek* w Fontenay aux Roses, powiada też: „Wątpić, rozbiierać i namyslać się jest niewątpliwie pierwszym warunkiem mądrości, ale w trakcie takiego stanu ducha, nie jest się dość mocnym do czynu. Pojęcia prawdziwie skuteczne w działaniu swem na nas, pojęcia grające w życiu rolę wa-

żną—to te, względem których już nie ma w umyśle naszym wątpliwości: te, które zakorzeniły się w nas oddawna. Jeżeli też chcemy, aby dziecko pełniło kiedyś obowiązki swoje mężnie i stanowczo, trzeba przyuczyć umysł jego do poglądów szerokich, ale ustalonych, trzeba nadać mu pojęcia moralne, nietylko zdolne wytrzymać wszelką krytykę, ale takie, któreby, ducha krytyki wyprzedzając, mogły go potem wyzywać w danej chwili“.

Tensam pisarz dodaje: — „Tu natura sama przychodzi nam z pomocą“ i tak jest niewątpliwie. Każda, najmniej cywilizowana, istota ludzka ma jakieś poczucie zła i dobra; posiada je również dziecko wszelkiej klasy towarzyskiej w tym już wieku, w którym uczyć się jest zdolnem: wie, że jest coś, co mu czynić należy, coś, czego mu czynić nie wolno. Ująć ten instynkt moralny i rozwinąć go: oto główne zadanie wychowania, trzeba przecież przytem jakgdyby przyłożyć ucho do piersi dziecinnej i podłuszczać bicie młodziutkiego serduszka, bo w każdej tej małej istotce już istnieje przyszła indywidualność człowieka: charakter z oddziaływaniem temperamentu i wpływów okolicznościowych, wrażeń rozmaitych i rozmaicie odczuwanych. Jak się to wszystko składa i układa, aby powstał człowiek moralny — to według Żmichowskiej, „nigdy nieodgadniona tajemnica między duchem Bożym a duchem ludzkim“, niemniej wychowanie musi pochwycić choć pewne rezultaty tego układania się i wyrabiania organicznego młodej istoty, aby działać mogło. Pierwszem zadaniem nauczycielki jest też usposobienie dziecka, oile może zbadać, odgadnąć pierwiastki jego charakteru i przez czas jakiś uwagę swoją głównie temu poświęcić, aby moralną jego naturę zrozumieć. Jak musi poznać stopień umysłowych zdolności i umysłowych skłonności dziecka, aby mu leceye w sposób roztropny umierzyć mogła, tak musi, tak powinna stopień jego uczuciowości, zarody przymiotów i wad, właściwości jego chara-

kteru, choć cośkolwiek zrozumieć. Zdaje się, że każde dziecko powinno być szczerem i do poznania łatwem, są przecież dzieci nieśmiałe i dzieci dumne, dzieci z usposobienia już więcej niż inne w sobie zamknięte, niewylewające uczuć swoich w słowa. Im charakter dziecka jest więcej odmiennym od charakteru rodziców lub tych, którzy je chowają, tem im trudniej zrozumieć go i często też wcale zrozumianym nie bywa, co nieraz sprządza bolesne dramata rodzinne. Istnieje książka wybornej autorki angielskiej, piszącej arcydzieła w swoim rodzaju, nie dla dzieci, ale o dzieciach, miss Florencyi Montgomery, której przekład francuzki pod tytułem *Sans Mère* czytałam i każdej kobiecie czytać-bym radziła. Rzecz cała, niezmiernie zajmująca choć smutna, zasadza się na tem, jak bardzo dobry, bardzo szlachetny ojciec nie mógł jednak zrozumieć, jak należało ukochać syna, którego charekteru nie pojmował, bo był innym, niż jego własny. Tam dziecko umarło i książka się skończyła, ale w życiu inaczej się dzieje. Dziecko żyje i jest w naturze swej łamanem, często się przez to psuje, często przeobraża i rozwija inaczej, niżby to miało miejsce, gdyby wychowanie odbywało się w warunkach odpowiednich i nie pociemku, gdyby osoba wychowująca umiała patrzeć i mogła jasno widzieć głębię dziecinne go ducha.

Może to być nieraz rzeczą łatwiejszą dla nauczycielki, niż dla rodziców, bo jest ona obojętniejszą i nie gra tu roli swojej ten egoizm, który sprawia, że często matka lub ojciec silniej kocha i uprzedzonym wzrokiem miłości patrzy na dziecko, podobne do siebie z usposobieniem. A ile to cierpień, ile goryczy, niesprawiedliwości mimowolnej i bezwiednej, rodzi się z tego powodu w rodzinach, osobiwie takich, w których małżeństwo rodziców nie miłość wiązała! Interes, przymus okoliczności złączył dwoje ludzi, między którymi dlatego miłość wzajemna powstać nie mogła, że była między nimi dysharmonia duchowa; cóż więc,

gdy dziecko, które naprzykład weźmie w spadku charakter ojcowski, w bolesnym położeniu takiej dysharmonii charakteru wobec matki się znajdzie? Nigdy nie będzie ono tak kochanem, jak inne, odpowiadające jej sercem lub umysłem i z konieczności zostaje skazaniem na dzieciństwo smutne, wydziedziczone ze szczęścia, pełne tęsknot i żalności, ztąd już dla wyrobienia się charakteru jego szkodliwych, że były to uczucia przedwczesne i nienaturalne. Znam jedną jeszcze książkę, już nie z obserwacji życia pisaną, ale żywego życia obrazy wręcz dającą, która dla przestrogi i nauki w tym kierunku znaleźć się powinna w bibliotece każdej matki: młodej i zarazem każdej nauczycielki: są to wspomnienia dzieciństwa, napisane przez obecnie wdowę, a wtedy żonę Michela, wspomnienia niewypowiedzianie bolesne, przecież dla czytelnika niezmiernie zajmujące, bo są nie tylko kreślone piórem łatwym i żywym, ale przedstawiają to mnóstwo szczegółów codziennego życia, jakich dostarczyć mogą tylko obrazy z rzeczywistości brane. W tem też leży i wielkie pod względem pedagogicznym tej książki znaczenie. Autorka była dzieckiem rodziny pod względem narodowości mieszanej matka jej, jakkolwiek pochodzenia francuskiego, była Amerykanką; jasnowłosa, biała i różowa piękność, charakter miała łagodny, spokojny, domowy i dwoje starszych dzieci, urodzonych pod niebem Ameryki, odziedziczyły to wszystko po niej, ztąd pieszczone, kochane niezmiernie, nazywała owieczkami swemi. Trzecie przyszło na świat już w stronach rodzinnych ojca, na południu Francji i było tak z powierzchowności, jak z charakteru dzieckiem Południa, żywym, nerwowym, namiętnym a przytem czarnym i szczupłym. Dla matki, tak pojmującej jeden tylko typ piękna, jak jeden tylko typ dobra moralnego, dziecko było najprzód brzydkim, powtóre, charakter jego raził ją i przy odmiennem zupełnie usposobieniu chować go dobrze nie umiała, przy odmiennych zupełnie gustach i skłonnościach nie umiała go poznać i pokochać i wytworzyło się z tego nieszczęście rodzinne. Każda kobieta czytająca tę książkę rozzali się głęboko, każda matka robiąca różnicę między dziećmi swemi zadrży, a nauczycielka z tych obrazów codziennego życia, zestawionych z uczuciem i myślą dziecinną, wyciągnie sobie mnóstwo wskazówek dobroczynnych. Książka nauczyciela szczególnie tej ważnej prawdy pedagogicznej, że nad charakterem każdego dziecka zastanowić jej się należy, że jej należy wejrzeć w głąb każdego dziecinnego ducha. Jak źle się chowa, jak źle się wyrabia dziecko niezrozumiane i krzywdzone przez to, dowód już w tem się znajduje, że książka, o której mowa, napisaną i drukiem ogłoszoną została, bo trzeba już na to wielkiej oschłości serca, a przynajmniej wielkiego braku delikatności w uczuciach, aby tak pamięć matki swojej w stanie oskarżenia przed czytającą publicznością postawić. Niema tam wprawdzie wyrzeń matce tej ubliżających, jest nawet w końcu pogodzenie się i pewne zjednoczenie serc pod gromem wspólnego nieszczęścia, ale zawsze czytelnik powie sobie: Ta córka nie kochała matki swojej....

Nauczycielce należy zatem policzyć to do pierwszych obowiązków swego zawodu, aby tak zdała sobie pewną sprawę z moralnych stron charakteru dziecka, jak zdać ją sobie powinna z jego intelektualnych zasobów: z siły i skłonności jego umysłu. Jak jedno musi warunkować naukę, tak drugie musi wpływać na sposoby kształcące dziecko etycznie. Poczucie zła i dobra, znajdzie już ona w każdym; rozwijać je i utrwalać, skierowywać ku prawdzie i podnosić w dziecku nad te wszystkie względy, przez które świat i własny nasz egoizm lub zaszczepione nam przesady ideę moralną fałszują: to jej zadanie. Na zmysł moralny składa się przecież w połowie rozum, pojęcie nasze o obowiązku, w połowie uczucie, skłaniające nas do poświęcenia, do ofiary samolubstwa naszego na korzyść dobra drugich. Nauczycielka też, wyrabiając w dziecku to, cośmy nazwali nawykniennymi cnoty, skłaniając do codziennego jej praktykowania, powinna niemniej odzywać się tak do rozumu dziecka, wykazując co jest w postępowaniu moralnem sprawiedliwością i koniecznością, wynikającą ze wzajemności, na której się byt człowieka społecznego gruntuje, jak i do jego serca. Że

przecież w dziecku małe działanie rozumu jest o wiele słabsze, niż działanie uczucia, u dzieci młodszych głównie przez wpływ na to uczucie trzeba jej kształcenia moralnego dokonywać — przez uczucie dać dziecku ukochanie dobra, które jest piękstwem moralnym, dać mu zapalę cnoty.

Skoro wychowawca osiągnąć to zdoła, już wychowanie otrzymało podstawę stałą. Pojęcia o życiu i obowiązkach człowieka, ulegają w biegu życia modyfikacyom rozmaitym; jedna szkoła filozoficzna przyjdzie zbijać i wywracać to, co druga podniosła nam przed umysłem jako najwyższy, najświętszy cel dążeń ludzkich: ale uczuciowość raz już w nas rozwinięta trwa i trzeba nadwyzczajnych przewrotów, doświadczeń życia, aby ten stan moralny uległ zmianie. Mogą się zmieniać przedmioty uczuć naszych, ale rdzeń rzeczy, jej dusza — uczucie samo, pomimoto istnieć będzie i działać, wpływać na charakter i czynny nasz. Znakomita moralistka francuska, zajmująca we Francji stanowisko, jakie u nas posiada Hofmannowa, p. Necker de Saussure czyni to też prawem dobrego wychowania, aby zużytkowywało pierwsze już lata dzieciństwa na rozwijanie uczuć, na wyrabianie uczuciowości. Żmichowska, która według własnego wyznania, na tej autorce oparła swoje pierwsze wykształcenie pedagogiczne i zawsze, aż do końca ceniła ją niezmiernie wysoko, posiadała też pod tym względem to samo zdanie. Człowiek musi w dzieciństwie nauczyć się kochać, aby kochać umiał, mówiła i wstęp jej do *Poganki*, cała cudowna edukacja rodzinna, oparta na uczuciu miłości, rozbudzonej wraz z życiem — dowódzi tego. P. Necker de Saussure oddaje to przekonanie pedagogiczne obrazowo, pisząc: — Uczucie wywiera na pojęcia nasze tensam skutek, jaki muzyka wywiera na słowa śpiewane: nadaje im charakter i sens, którego nie miałyby inaczej“.

Uczucie, uczuciowość stawia się podobnie względem całości istoty naszej. Koloruje nasze wyobrażenia, akcentuje nasze czyny i nadaje kierunek życiu, daje mu te porywy, te uniesienia, te zapale, bez których byłoby ono innem wcale. Uczuciowość, to ciepło naszego ducha; wszystko to, co jest kwiatem życia, co jest jego pięknoscią i poezią, rozwija się pod promieniowaniem uczuć. Wyobrażenia bez uczucia wydawać może pięknotwory, ale jest to wtedy piękność martwa, piękność zimna iskrzącego się lodu, który światło odbija, ale sam światła w sobie nie ma. Więc też takie piękno, tak w żywym życiu, jak w słowie, w sztuce, nie działa nigdy na innych wpływem trwałym i dodatnim: potraci chwilowo wyobraźnię i nie nadto. Żaden retor, naprzykład, nie mógłby być spełnić roli Tytusa, nie mógłby być porwać za sobą mas ludzkich, prowadząc je na niebezpieczeństwo, na śmierć. Prawo fizyczne powtarza się tu i w stosunkach moralnych: tylko ogień prawdziwy, tylko to, co się rzeczywiście pali, a nie jest palenia się odbiciem, ciepła udziela, rozgrzewa; wychowanie też mające być dla dziecka edukacją uczucia, powinno prowadzić się koniecznie i niezbędnie przez czynniki uczuciowe. Jeżeli nie może być prawdziwego poety, prawdziwego sztukmistrza i pięknotwórcy bez uczucia, nie może być bez tej siły w sercu nam mieszkającej prawdziwie dobrego wychowawcy. Opierając się na doświadczeniu wielkich pedagogów, najnowsza nauka o wychowaniu uznaje to i za pewnik przyjęła, że kształcenie dzieci małych może być prowadzonym dobrze tylko przez kobietę, że nauczycielka lepsza jest zawsze dla dziecka, czy chłopca czy dziewczynki, od nauczyciela: czy przecież nie dlatego właśnie, że tu, gdzie działanie kształcące wynika więcej z poruszenia uczuć, niż rozumu dziecka, kobieta, z natury swej więcej uczuciowa, zadanie to lepiej od mężczyzny spełnić jest zdolna?

Uczuciowość nauczycielki jest rzeczą ważną nawet co do nauczania samego, bo dziecko małe temu tylko podda się z ufnością i chęcią, kto je umie do siebie przywiązać, ale pod względem wyrabiania moralnego, rozwijania uczuć, już to warunek obejść się nie dający. Aby uczucie, spoczywające w sercu dziecinne, jak ziarno w gruncie, pusiło kielik, trzeba według wszelkiej już psychologii, obudzić je przez wzruszenie. Wszelka też psychologia objaśnia, że wzruszenie jest siłą, która się udziela, lecz i bez psychologii wie to każdy. Co

działa na nas w dziełach sztuki, co nas porywa, wstrząsa, do łez, do uniesień namiętnych doprowadza? Uczucie sztukmistrza, który je tam zamknął, z piersi swej wywoławszy. Czyn szlachetny, czyn ofiary, poświęcenia w podobny sposób nas przenika i do entuzjastycznego stanu uczuć przywodzi, całe tłumy nieraz ogarnia przez oddziaływanie uczucia na uczucie, przez zarazę wzruszenia. I w wychowaniu moralnem powtarzać się musi coś podobnego. Trzeba nauczycielce być rzeczywiście przejętą uczuciem, które chce wzbudzić, bo prawda ma to do siebie, że się ją czuje i poznaje. Na dziecko szczególnie szczerzy tylko wyraz uczucia działać może; retoryka jest jeszcze dla niego niczem, piękne słowa odbijają się od jego na to nieczułość i tylko uczucie, przemawiając do uczucia, wzruszenie potrzebne wywrzeć może.

(Dokończenie nastąpi).

KRÓLEWIEC I GRUNWALD

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S***

(Dalszy ciąg)

Oderwanie się Witolda od Zakonu doszło pomyslnie do skutku. Wielki książę zdobył na Krzyżakach Kowno, Nowe Grodno, Mithenburg i zjechał się z królem Jagiellą i królową Jadwigą w Ostrowiu. Tymczasem Sonnenbergowi, dla ocalenia pozorów uwięzionemu przez Witolda, ułatwiono ucieczkę z niewoli i dano wszelką możność dostania się do Królewca. Następnego roku, 1393 go, latem, przed śmiercią Wallenroda, na wodach Zatoki Świeżej pod Królewcem ukazał się statek litewski mający uwięzić do Litwy młodzieńców książąt Jana i Jerzego, synów Witoldowych i ich zbawcę Sonnenberga; lecz po upływie dni kilku od zjawienia się tego statku, nieszczęśliwe dzieci, z których młodsze mogło mieć lat 7, a starsze 8, zostały otrute.

Takie są fakta ściśle historyczne; lecz do jakiego wniosku nieuchronnie prowadzi ostatnia scena tego krwawego dramatu? Zakon Krzyżacki nie mógł się nigdy rozstać z nadzieją podbicia Litwy. Lecz i po dojściu do tego celu potrzebował prawnej podstawy do spokojnego posiadania krajów, które miał nabyć mocą oręża; potrzebował jej tem więcej, że nie tylko królewski ród Jagiellonów mógł stanąć w obronie praw potomstwa Witoldowego, ale nawet samo Cesarstwo Niemieckie, którego Zakon był hołdownikiem, mogłoby mu zaprzeczyć prawa władania i uznać za właściwsze zagarnięcie Litwy pod siebie. Obok tego istotnym powołaniem Krzyżaków było nawrócenie Litwy na chrześcijaństwo, nie zaś jej zawojowanie: a całemu światu było wiadomo, że tego posłannictwa religijnego dopełnili już król i królowa polscy, a oraz naród, nad którym panowali. W cóżby się zatem zamieniło posiadanie tego kraju, w przypadku gdyby Zakon podbił go mieczem i włóczył? Byłoby to tylko proste i zbójcekie zagrabienie tego, co nigdy doń nie mogło należeć. Tymczasem traktat zawarty z Witoldem d. 30 Stycznia 1384 dostarczał Zakonowi prawnej podstawy do utrzymania się przy władztwie. Ale synowie Witolda byłiby przeszkoą do osiągnięcia skutków powyższego układu; cóż więc mogło wstrzymać Krzyżaków od usunięcia tej przeszkody? Skrupuły sumienia mistrza lub kapituły? Bynajmniej. Przewielebny Zakon nie znał ich nigdy, nie znał ich w sprawach mniejszej wagi, a tem mocniej w kwestyi najważniejszej ze wszystkich. Sumienie zakonu nie było wcale lekkie, i niewinne dzieci Witolda padły ofiarą spokojnej rachuby

politycznej, której Sonnenberg był tylko przymuszonym wykonawcą.

Ale dlaczego później wielki książę Witold, zostając przez tak długo w przyjaznych stosunkach z mistrzem Zakonu, Konradem Jungingen, nie wspominał się nigdy o karę na zbrodniarzy, którzy jego synów zamordowali, dlaczego tenże sam Konrad, człowiek uczciwy, nie ukarał ich z własnego swego natchnienia? Dlatego, że ani jeden ani drugi nie podejrzewali zbrodni i przypisywali zgon biednych dzieci naturalnej przyczynie.

IX.

W takim przekonaniu zostawał wielki książę do czasu śmierci Konrada von Jungingen, lecz na trzy miesiące przed tym wypadkiem, przed księdzem biskupem wileńskim stanął zamożny niegdys, lecz zruinowany przez napady krzyżackie, litwin nazwiskiem Birmund. Zapytany przez biskupa o powód, dla którego żądał u niego tajemnego posłuchania, złożył bardzo długą relację, którą tu w treści przytaczam. W r. 1388, w jakiejś pożyteczce, Birmund wzięty był przez Krzyżaków do niewoli, i dostał się do Królewca, gdzie wkrótce potem i małych książąt, synów Witoldowych umieszczono jako zakładników przy marszałku zakonnym Engelhardzie Rabe. Ponieważ Birmund był już chrześcijaninem, a prócz tego stary marszałek poznał go osobiście, a zatem na jego rozkaz przeszedł z wieży więziennej na dozór przy małych książętach. Była to wprawdzie druga niewola, lecz Birmund, pełen przywiązania dla rodu Kiejstuta błogosławił chwilę, w której umieszczono go przy jego wnukach. Przytem wrodzona słodycz i dobroć tych dzieci zyskiwała im serca wszystkich, którzy je przez ciekawość odwiedzali. Wyjątek pod tym względem stanowił tylko jeden Krzyżak, Markward Salzbach; ale ten bywał tylko gościem w Królewcu. Birmund zauważył, że ten komtur nie przemówił nigdy do nich tem uprzejmem słowem, które każdy, choćby nawet zimnego serca, człowiek znajduje zawsze dla sierot pozbawionych macierzyńskiej opieki. Salzbach po to jedynie zdawał się zaglądać do ich pokoi, iżby się przekonać, czy dobrze byli pilnowani. Lecz w roku 1392 drugi komtur Andrzej Sonnenberg, zbiegły z niewoli od wielkiego księcia, przybył także do Królewca, i jak tylko ukazał się w apartamencie książąt, obadwaj natychmiast klasnęli w dłonie i rzucili się z radością ku niemu.

— Komtur, — mówił Birmund, — obejrzał się dokoła, jakgdyby przez ostrożność, i zapewniwszy się, że ja sam jestem w komnacie, uściśnął ich czule i z zadziwiającą w Krzyżaku dobrocią.

W kilka tygodni potem pod jego szczególną opiekę oddane zostały biedne dzieci. Przyznam się wam nawet, najprzewielebniejszy ojcze, że i ja w prostocie ducha serdecznie z tego rozporządzenia ucieszyłem się. Książęta powiedzieli mi, że Sonnenberg przebywał stale przy dworze naszego pana i wielkiego księcia w Ritterswerder. Co się mnie samego dotyczy, muszę powiedzieć, że nie tylko utrzymał mnie przy moim skromnym stanowisku, ale mi zawsze swoje uprzejmości okazywał. Zresztą był on grzecznym dla wszystkich, którzy małych książąt odwiedzali: raz tylko, pamiętam, odstąpił od tego prawidła, kiedy się u nich pokazał komtur Salzbach: albowiem przyjął go zimno, sucho a nawet niechętnie, jakgdyby mu chciał dać do poznania, że jego odwiedziny były niepotrzebne. Odtąd też Salzbach nie pokazywał się u nas wcale.

Osierocone dziaćki przywiązywały się coraz bardziej do Sonnenberga; on zaś ze swej strony starał się uprzedzać ich życzenia; i w taki sposób ciągnęły się rzeczy przez kilka miesięcy. Aliści pewnego dnia, na wiosnę r. 1393, Sonnenberg wszedł do nas blady, drżący, zmieniony tak, że przestraszył mnie ogarnął, kiedyś nań spojrział. Nie widzieliśmy go przez dni trzy i pomyślałem sobie, że w tym przeciągu czasu, musiał go spotkać jakieś wielkie nieszczęście. Son-

nenberg przynosił codziennie biednym dzieciom rozmaite przysmaki i podług swego zwyczaju i w owym dniu fatalnym ofiarował im kilka pomarańcz na cukrze smażonych, które mali książęta bardzo lubili. Tymrazem wszelako nie siedział z nimi wcale i śpiesznie wyszedł.

W godzinę potem naprzód książę Jerzy a potem książę Jan zaczęli się gwałtownie uskarżać na mdłości i niezmiernie bóle w żołądku. Pobiegłem co prędzej po doktora zamkowego, ale go nie było w domu: zaszedłem następnie do Sonnenberga, chcąc mu donieść o tem, co zaszło, ale go także nie zastałem: temczasem choroba pogorszała się z każdą chwilą. We dwie godziny zaledwie doczekałem się nadejścia doktora. Pokładałem w nim ufność, jako w człowieku spokojnym i dobrym: przytem, był to lekarz umiętny, który nie jednego chorego uzdrowił.

— Nie masz żadnej wątpliwości — rzekł on do mnie z przerażeniem, po opatrzeniu chorych — że te biedne dzieci są już w konwulsjach. Pomyślećby można, że zostały otrute.... chociaż.... straszne to przypuszczenie. Cóż one jadły? Ukazałem mu w milczeniu dwie pomarańcze, które jeszcze leżały na talerzu. Dwie drugie zjedli mali książęta.

Doktor, dawszy chorem lekarstwo, zabrał z sobą pomarańcze i poszedł do swojego mieszkania; lecz w pół godziny ztamtąd wrócił i oznajmił mi z przestraszeniem, że te owoce były zatrute....

— Jak to? — przerwał biskup Birmundowi. — Więc Sonnenberg miał być mordercą młodych książąt?

— Tak jest, najprzewielebniejszy książę biskupie!

— To być nie może!

— Czyżbym ja — odrzekł Birmund — ja, nędzny proch, poważył się kłamać, przed świętym pastorem naszej Litwy?

— Czy tylko nie mylisz się, mój synu....

— Przyzywam Boga, którego pragnę oglądać przy skonaniu, na świadka prawdy słów moich.

— Mój synu! — odezwał się sędziwy biskup: — Sonnenberg nie miał najmniejszego powodu do tak strasznej zbrodni! Trzeba ci wiedzieć, że on-to dopomógł wielkiemu księciu panu naszemu, do oderwania się od bezbożnego Zakonu, że najuroczystsza przysięga, jaką tylko chrześcijanin złożyć może, zobowiązał się być mu wiernym do śmierci i wydobyć młodych książąt z zakładu krzyżackiego i wrócić ojcu. Wdzięczność i hojność wielkiego księcia zapewniała mu nagrodę, na jaką chciał Zakon nigdy się nie zdobył. Prócz tych światowych pobudek, mogę jeszcze dodać, że charakter tego człowieka był wolnym od srogości i okrucieństwa. Dlatego nawet lubiono go na dworze wielko-książęcym....

— A jednak on-to pozbawił życia nieszczęśliwe dziaćki.... i nikt we mnie tego przekonania nie zmieni! — odrzekł Birmund.

— Ale, cóż dalej? — zapytał biskup.

— Wszystkie starania doktora były daremne i nim słońce zaszło, dwie niewinne dusze uleciały do nieba!....

Z temi słowy Birmund pochylił smutnie głowę. Pamięć uobecniła mu żywo obraz okropny, którego był naocznym świadkiem. Nakoniec, przerwawszy milczenie, mówił dalej:

— Nie mogłem nigdy wypowiedzieć waszej przewielebności tego, co się ze mną podówczas działo, kiedyś klęczał u łóżka księcia Jerzego, który o pół godziny przeżył swojego starszego brata. Wyciągnął do mnie rączki, ale nie mógł już mówić. Wtedy-to bezbożny Sonnenberg, trapiiony już zapewne ciężką zgryzotą, wszedł do komnaty, słańjąc się i blady jak trup. Widmo potępienia nie przerażyło mnie więcej, niż jego niespodziane pojawienie się.... Słyszałem nieraz, że ofiary morderstwa mają tajemną moc pociągania ku sobie zabójcy. Spójrz na umarłego już, potem na umierającego i wybiegł z komnaty, jak obłąkany, spostrzegłszy, że biedna dziecina, w bólach konania i ku niemu także swą rączkę podniosła. Nie miałem nawet tej pociechy, iżby się pomodlił na ich grobie; bo zaledwie cień nocy zstąpił na ziemię, dwóch wityngów¹⁾, uzbrojonych od

stóp do głów, zabrało mnie z sobą. Na dziedzińcu zamkowym czekało kilku innych; kazano mi się na konia. Zbrojni wzięli mnie między siebie, i ruszyliśmy cwałem z Królewca. Tyle się tylko od nich dowiedziałem, że oddano mnie pod sąd za otrucie synów księcia Witolda.

— Poczekaj, mój synu! — przerwał znów biskup. — Przypominam sobie, że lubo stosunki jego książęcej mości z Zakonem były podówczas zerwane, mimo to wielki mistrz Wallenrod kazał doń napisać, że mali książęta, jego synowie umarli z zaraźliwej choroby, która wtedy między dziećmi w Królewcu panowała. Pamiętam nawet, że wielki książę odebrał także tajemne zawiadomienie od Sonnenberga, który, potwierdzając tę relację, donosił zarazem, że sam jest mocno podejrzewany i ściśle strzeżony, i że mu odjęto wszelką możność wydalania się z Królewca, a temsamem i przebrania się na Litwę. Wielki książę, znając podejrzliwość Krzyżaków, uwierzył z łatwością temu doniesieniu; pokazuje się jednak, że wszystko było fałszem. Nie rozumiem tylko, co mogło pobudzić Sonnenberga do tak strasznego morderstwa, kiedy przedtem tyle przyjaźni biednym dzieciom i tyle życzliwości ich ojcu okazywał? Musi być w tem wszystkim jakaś tajemnica.

— I ja tak myślę, przewielebny książę biskupie.

— Powiedzże mi teraz, mój synu, czego żądasz odemnie? — zapytał biskup.

— Życzylbym sobie, iżby wasza przewielebność raczyła przedstawić jego książęcej mości treść mojego doniesienia, które w każdej chwili gotów jestem stwierdzić przysięgą.

— Pojmuję twoją myśl — odrzekł biskup. — Nie możesz znieść obwinienia, które na ciebie wrogowie rzucili; chociaż my nie zgoda o niem nie wiemy. Pragniesz jako szlachcic i rycerz litewski oczyścić się z potwarzy. Ale dlaczego tak późno o popełnionej zbrodni donosisz? Piętnaście lat od śmierci nieszczęśliwych książąt upłynęło. Dlaczego milczałeś tak długo?

— Najprzewielebniejszy panie! Przez trzy lata, bez sądu, który mi nieraz zapowiadano, przetrzymałem mnie w więzieniach komandoryi Markwarda Salzbach, a następnie....

— Markwarda Salzbach? — powtórzył biskup.

— Tak jest: a następnie tenże komtur wyprawił mnie w głąb Niemiec do drugiego komtura Reinharda von Eisenherza, który przez lat 11 trzymał mnie w swoim więzieniu, pod najściślejszą strażą: ale i tam mnie nie sądzono. Uszedłem nareszcie ztamtąd, dzięki Opatrzności, która nademną czuwała. Po latach czternastu ciężkiej niewoli odzyskałem wolność i podążyłem w rodzinne strony, o żebranych chlebie.

— Więc to Markward Salzbach kazał cię uwięzić? — ponowił biskup. — Twoje żądanie zostanie spełnionem. Opowiem wielkiemu księciu naszą rozmowę. Przyjdź do mnie jutro. Ale czy nie masz jeszcze czego dodać?

— Przypominam sobie, przewielebny pasterzu, że na kilka dni przed śmiercią młodych książąt, z okien ich pokoi, wychodzących na mały, ustronny dziedziniec, widziałem Sonnenberga, Salzbacha i jeszcze trzeciego komtura, jak rozmawiali z sobą. Wiedząc, że pierwszy z nich nie lubił wcale drugiego, zdziwiłem się temu zbliżeniu; ale wkrótce ujrzałem Sonnenberga w gwałtownym uniesieniu. Krew biła mu do głowy i w przystępie gniewu uchwycił nawet za szyję. O czem jednak mówili, nie mogłem się domyślić. W chwilę potem zniknęli mi z oczu.

Biskup zamyślił się, lecz wkrótce rzekł znowu: — Przyjdźże do mnie jutro, panie Birmund, o tej samej godzinie.

Nazajutrz Birmund dowiedział się tylko od biskupa, iż ważną usługę wyświadczyłby wielkiemu księciu, gdyby mógł wykryć współników zbrodni Sonnenberga. Kłamstwo krzyżackie było oczywiste i morderstwo nie ulegało wątpliwości; bo i dlatego pisali do Witolda o śmierci naturalnej jego dzieci, gdy tymczasem straszili Birmunda karą za otrucie? Chcieli oczywiście zostawić tego ostatniego w tem przekonaniu, że i wielki książę upewniony został o jego mniemanej zbrodni: że temsamem on, Birmund, gdyby nawet wydobył się

¹⁾ Wityngi — byli to najwycwieczniejsi żołnierze Zakonu.

z więzienia, to z obawy najśrodszej kary nie mógłby się pokazać na Litwie.

— Lec z drugiej strony — mówił dalej biskup — morderstwo małych książąt sprzeciwiało się najważniejszym interesom Sonnenberga. Bo i cóżby Zakon ofiarował mu w zamian za to, co go czekało u wielkiego księcia w nagrodę za wydobycie jego synów z niewoli? Sonnenberg nie popełniłby nigdy takiej zbrodni, gdyby go kapituła, a przynajmniej niektórzy jej członkowie, do tego nie zmusili. Wymieniłeś Salzbacha: i to nazwisko uderzyło najjaśniejszego księcia. Zatrzymajże sobie w pamięci ten szczegół. Ale czy myślisz, że ci się uda odkryć cały wątek tej okropnej zbrodni? Jeżeli nie, to powiedz otwarcie: wielki książę może to polecić komuś innemu.

— Oczywiście rzecz, przewielebny księże biskupie, — odpowiedział Birmund po kilku chwilach głębokiego namysłu — że sam przez się nie mógłbym tego dokonać. Nie mogę nawet pokazać się w państwie zakonnem; Sonnenberg i tylu innych Krzyżaków mogliby mnie poznać... Mimo to, nie uchylam się od tego, co sobie za obowiązek uważam.

— W jakim więc sposób, mój synu, zamierzasz sobie dochodzić prawdy? Pamiętaj bowiem, że tu idzie o czystą prawdę nie o podejrzenia lub o popozory. Jesteś przekonany, że Sonnenberg otruli książąt, i my wierzymy tobie; ale kto go do tego pobudził?

— Na pograniczu Litwy i Żmudzi — odrzekł Birmund — mieszka na swojej ziemi mój synowiec, który od dziesięciu aż do ośmnastu lat swego wieku przebywał w niewoli u Krzyżaków; wychowany był nawet przez nich; ale od lat już pięciu oswobodzony, wrócił pod ojczystą strzechę. Wydobyszy się z ich szponów, przyszedłem do niego, aby przez parę miesięcy wypocząć i wzmocnić się na zdrowiu bardzo nadwątłonym. Opowiadałem mu potwarze i krzywdy, których w więzieniach niemieckich nie szczędzono mi wcale. Słuchał mnie z wyteżoną uwagą, ze wzrokiem palającym, nieubłaganą zemstą. Widziałem z pociechą, ile krwawej nienawiści ku wrogom może się zgromadzić w sercu Litwina. Wychowali go Niemcy, ale nie na swój pożytek. Waldemar Birmund pomści się za rodzonoego brata ojcowskiego; bo i sam z Krzyżakami ma także rachunki. Nic go nie wiąże, ani małżeństwo ani węzły krwi, bo prócz mnie, nie ma nikogo na świecie. Krzyżacy zamordowali mu ojca, wyrwali go dzieckiem z macierzyńskiego objęcia, i chociaż dali mu wiarę świętą, chociaż starali się go przygłaskać, Waldemar o najmniejszym złem, które mu wyrządzili, dotąd nie zapomni i nigdy nie zapomni... Umie on być i niewinnym gołębiem i drapieżnym sokołem puszczy nadniemeńskich i dobrym Litwinem i nieprzejednanym wrogiem dla wrogów. Dosyć mi tylko wyrzec słowo, a spełni wszystko co mu rozkaże, spełni tem chętniej, że taka jest wola jego monarchy i pana. Potrafi on przedrzeć się nawet do Malborka i w piersi mistrza Zakonu utopić sztylet po samą rękojeść.

— Uspokój się, panie Birmund! — rzekł biskup. — Nie idzie tu wcale o dzisiejszego mistrza, który jest wcale niewinnym śmierci młodych książąt. Najjaśniejszy książę żąda tylko sprawiedliwości i kary na winnych za nieumierną klęskę, którą na jego ród sprowadzili. Wielki książę, pan tylu krajów, ciągnących się od morza do morza, nie ma ich komu przekazać po sobie. Pomyśl raz jeszcze, mój synu, czy Waldemar Birmund, przy gwałtowności swej nienawiści, przy gorącej krwi młodego wieku, potrafi spełnić swoje poruczenie i wykryć winowajców?

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Przybycie do Paryża p. Jarosława Vrehlickiego, poety czeskiego. — Kilka słów o jego przeszłości i dziełach. — Dwa ostatnie

znakomite jego dramata: *Drahomira* i *Smert Odyssea*. — Dorywczy szkic jego portretu. — Pani Vrehlicka. — Przyjęcie poety w Parku Saint-Cloud i bankiet na cześć jego wydany. — Przemowy i zapal powszechny. — Dwie perełki z jego utworów: *Słowacki* i *Boginie*. — Pojedynek dziennikarzy bonapartystowskich. — Tragiczny koniec. — Śmierć p. de Massas. — Ex-Ojciec Jacenty znów na scenie. — Nowy awatar Karmelity, i kwestya rozdziału pomiędzy Kościołem i państwem.

Paryż, we Wrześniu 1882 r.

(Dokończenie)

Są to małe i słabe próbki; nie dają one rzeczywistego pojęcia o wielkiem mistrzostwie tego poety, ale posłużą czytelnikom moim do zrozumienia choć w części, dlaczego rozmiłowany w tym wieszczu z nad Weltawy, z tak gorącym pragnieniem chcę go zaznajomić bliżej z naszą publicznością.

Teraz wracam na bruk paryzki i czuję jak mi ta niezmierna sprzeczność cięży na sercu. Mówiąc o naszych rzeczach, czujemy dobrze co nas boli i co nas cieszy! Wszystko się przedstawia jasno i czysto, niema potrzeby szukać słów i wyrażen stosownych, bo te płyną swobodnie z pod pióra. Tymczasem sprawy obce, to rzecz zawiła jeżeli nie dla piszącego, to często dla czytelników jego: musi więc przedstawiać to wszystko w taki sposób, aby odrazu zrozumiał każdy, o co chodzi i do czego to dąży. Próbuje!

W braku nowości zajmujących i ważnych, ma się rozumieć, bo plewy tu zawsze jest nawał, w braku nowości księgarskich i teatralnych, musimy poprzestać na wiadomościach brukowych. Od czasu rozpuszczenia Izby ucichły waltornie polityczne, i tylko po skrajnych dziennikach szarpia się niemilosierdzie zakulisowi statystyci. Przykrym i dotkliwym objawem tego stanu rzeczy był pojedynek dwóch dziennikarzy Bonapartowskiego Stronnictwa. Po śmierci syna Napoleona III, stronnictwo to rozpadło się na dwa przeciwne sobie obozy; w jednym zasiadli tak nazwani Żeromiści — stronnicy ks. Napoleona, stryjecznego brata ostatniego cesarza, — w drugim stronnicy w początku ogólnej bonapartystowskiej idei, bez ściśle wytkniętego celu, a wreszcie połączeni pod sztandarem starszego syna tegoż ks. Napoleona, młodego *Wiktora Napoleona*. Na tem polu zawiązana polemika wkrótce jakoś przerodziła się w namiętną i szaloną walkę, w której nie oszczędzano wzajemnie, ani siebie, ani stojących na czele książąt.

Dwa organa szczególne: dawno już założony *Le Petit Caporal*, organ popierający kandydaturę ks. Napoleona ojca, którego głównym redaktorem jest p. Dichard, i dziennik *Le Combat*, pod redakcją p. de Massas. Ten ostatni wychodził początkowo w południowej Francji w Mont-Marsan i przeniesiony został świeżo do Paryża. Obadwa te dzienniki a raczej dzienniczki, mało mają rozgłosu i znaczenia, a popierając dość wątpliwą i subtelną kwestyą dynastyczną, opartą na dowolnie, jak się zdaje, wymyslnem współzawodnictwie pomiędzy ojcem a prawie małoletnim synem, są bardziej organami ludzi szukających własnego zysku, niż jakiegobądź dobra dla kraju.

P. de Massas, młody, niedoświadczony a gwałtowny człowiek, przenosząc swój dziennik do Paryża, aby mu nadać więcej rozgłosu i wziętości, starał się gwałtownością swego wystąpienia ściągnąć na siebie uwagę publiczną i pomnożyć w ten sposób liczbę prenumeratorów, a przynajmniej liczbę sprzedawanych numerów. *Le Petit Caporal*, zaczepiony gwałtownie, odpowiedział gwałtowniej jeszcze, tak, że przyszło do pojedynku. Ten, gdy raz pierwszy spełził na niczem w lesie Saint-Germain za wdaniem się policyi i żandarmerji, przeciwnicy spotkali się powtórnie w Niedzielę d. 3 b. m. w ogrodzie u jednego ze swych przyjaciół w Nogent nad Marną, o pół godziny drogi od Paryża, przy kolei żelaznej wschodniej. Po kilku ledwie złożeniach się szpadami p. de Massas przeżyty żelazem nawskroś, padł na miejscu bez duszy. P. Dichard ranny ciężko, ma się jednak dziś lepiej. Pojedynek ten odbył się w ogrodzie domu, w którym mieszka p. Albert Rogat, również redaktor bonapartystowskiego dziennika „*Le Pays*“. Wyпадаk ten zrobił tu ogólne i smutne wrażenie; młody,

zdolny bardzo człowiek padający ofiarą nie żadnej ważnej sprawy, ale gwałtownej dziennikarskiej polemiki, obudził żal powszechny. Opinia publiczna osądziła surowo, świadków szczególnie; ci bowiem podjęli się sekundować w tej rozprawie, gdzie przeciwnicy, równie jak świadkowie, byli nowicuszami bez doświadczenia.

Wszystko to jest naturalnem następstwem tego pomieszania umysłów i języków, w którym tu żyjemy. Jeden drugiego nie rozumie, a każdy własne swe zdanie uważa jedynie za świętą i nieodzowną prawdę. W nieprzeliczonej liczbie pism peryodycznych, które się tu rodzą i umierają z każdym dniem prawie, niema może ani jednego, któreby miało cel wytknięty, jasny i czysty, a szczególnie praktyczny i zrozumiały; wszystko się opiera na adwokackich wykrętach, na kłamstwie i na zaprzeczaniu wbrew temu dziś, co się wczoraj ogłaszało za kardynalną prawdę.

Oto jeszcze nowy dowód tego pomieszania i zagmatwania umysłów o którym mówię. Wychodzi tu dziennik pod nazwą *La séparation des Eglises et de l'Etat* (Rozdział Kościołów i państwa). Proszę zauważyć naprzód, że tu nie chodzi jedynie o Kościół katolicki, ale o wszystkie wyznania, z wyjątkiem naturalnie giędy, bo ta świątynia Mamon, to kościół niewzruszony niczem, to kamień węgielny społeczności naszej.

Dyrektorem tego specjalnego organu jest jeden z dyce-prezydentów (marszałków) Izby poselskiej p. Boyssset. Ponieważ ex-ojciec Jacenty jest jednym z założycieli neo-katolickiego kościoła, dyrektor więc separatystycznego pisma uznał za rzecz właściwą posłać mu swój dziennik, w celu zapewne otrzymania głośnego poparcia ze strony ex-karmelity.

Reformator odpowiedział wprawdzie, a oto głównie chodziło zapewne p. Boysssetowi; ale odpowiedź jego w nowem zupełnie a niespodziewanem świetle pokazuje nam słynnego niegdyś kaznodzieję od Najświętszej Panny. Ex-ojciec Jacenty zaczyna od tego, „że myśl p. Boyssseta nie razi go bynajmniej“, ale idą zatem pewne objaśnienia i restrykcyje, które wątpliwe należy, aby przypadły do smaku dyrektorowi dziennika, a szczególnie wolnomyślnym jego prenumeratorom, jeżeli są jacy.

Cały list p. Loisona byłby może zadługi dla naszej kroniki, tembardziej, że jest w nim wiele szczegółów dotyczących się rzeczy i kwestyj miejscowych. Zatrzymujemy więc jedynie to, co się tyczy osobiście dawniejszego ojca Karmelity i co zawiera w sobie pewien rodzaj wyznania wiary.

„Jeżelim dobrze zrozumiał, powiada p. Loison, rozdział (*La Séparation*) jest dla was sposobem zniszczenia, a przynajmniej zmniejszenia wpływów już i tak wielce osłabionych, jakie wywiera religia na nasz naród. Przedstawić w ten sposób to ważne zadanie, jestto podać je w nienawiść wierzącym, a uczynić podejrzanem dla umysłów ostrożnych i oględnych.

„Ja jestem chrześcijaninem, panie, a chociażem przeciwny z całej duszy doktrynom i praktykom ultramontanizmu, jestem katolikiem, nie tylko wskutek moich rodzinnych tradycyj, ale jeszcze i z własnego osobistego mego przekonania. Czuję się boleśnie dotkniętym temi obelgami, któremi miota codziennie większa część republikańskich dzienników na to, co mi jest najdroższem; a jeśli mam wyrazić całą myśl moją, jestem równie przerażony jak oburzony tą wojną anti-chrześcijańską, która, jeśli by miała trwać dłużej i coraz się bardziej rozszerzać, stałaby się niechybnie ruiną i hańbą naszego wielkiego narodu.“

Pięknie to zapewne! *bene et sapienter dictum*, ale kiedy ex-Karmelita, zwałkwszy swój habit, rzucił go z tak lekkim sercem w pokrzywę, jak mówił Francuzi, kiedy z ambony odszczepieńczej i z publicznej mównicy rzucał obelgi pełnemi rękoma na to, co jest najgodniejsze poważania dla wszystkich wierzących i prawowiernych, gorsząc zwolenników swoich i używając wielkich i szczytnych darów wymowy, danych mu przez Boga na spowiewanie wszelkiej zasady autorytetu, nie tylko w kościele katolickim, ale i poza jego obrębem: czemuż się nie zastanowił i nie pomyślał wówczas, jaki to będzie plon owego posiewu na spółkę z dyabłem? Czyż dziś p. Boyssset nie bę-

dzie miał prawa powiedzieć mu, że on był pierwszym, którego przykład przyczynił się tu najsilniej do podniesienia sztandaru tej anti-chrześcijańskiej wojny, którą dziś tak surowo i tak sprawiedliwie potępia? Czyż zapomniał p. Loison, jacy to byli ludzie, którzy tak gorąco przyklaskiwali jego od-szczepieństwu, i jakie to były dzienniki, egzaltujące na wysięgi jego odwagę i jego dzielność w chwili, kiedy biegał do Szwajcaryi kalwińskiej produkować swą żonę, swój paltot i swoją kacer-ską wymowę?

Nie miałem-że racji powiedzieć, że tu jest wie-rutne pomieszanie umysłów i języków w wierze, w polityce, w życiu i we wszystkim? Każdy tu się rzuca, gdzie go prowadzi chwilowa namiętność albo interes, bez zastanowienia się, do czego dojść może. Cały świat ma przekonanie, że ex-Karmelita jestto niedowiarek Boży—i jego dzisiej-sze protestacje nie mogą mieć żadnego rozgłosu i znaczenia i nie uczynią żadnego wrażenia na lu-dzi, którzy go dziś mieć będą, albo za komedyan-ta, albo za głupiego człowieka.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

Konkursa naukowe i literackie przy Akademii Umiejętności.—Konkurs ogłoszony przez Koło Artystyczno-Literackie w Krakowie. Czego do biografii Mickiewicza potrzeba.—Siostrzenica Szopena o jego ostatnich chwilach.—Spekulacyjne wydawnictwa dzieł Kochanowskiego i komitet pamiątkowy z 1884 r.—„Słownik geograficzny Królestwa Polskiego” i „Encyklopedia wychowawcza”.

Przy Akademii Umiejętności biegają obecnie na-stępujące konkursy: 1) Imienia Kopernika z fun-dacyi Krakowa, nagroda zhr. 500. Zadanie: *Obli-czenie tablic biegu planety Juno*. Termin 1 Lutego 1883 r. 2) Dla uczniów uniwersytetu krakowskiego, z daru Heyzmana, nagroda jedna 200 druga 100 zhr. Cztery zadania: a) *Stosunek Polski do Soboru Ba-zylijskiego podług dzieł Długosza i innych źródeł*; b) *Sprawy węgiersko-polskie od śmierci Warneńczyka do 1458 roku*; c) *Służba publiczna Długosza od 1466/80 roku*; d) *Zatarg Kazimierza Jagiellończyka z Biskupem Warmijskim*. Termin do d. 1 Czerwca 1884 r. 3) Z ofiary Józefa Ulanowskiego, 100 rs. za pracę historyczną z czasów Długosza, według źródeł znanych przed zjazdem 1880 r. Termin do 1 Lutego 1883 r. 4) Imienia Lindego trzy nagro-dy: jedna 675 rs., dwie drugie po 337 rs. 50 kop. za wypracowanie naukowe krytyczne, z zakresu języko-znawstwa polskiego. Termin do 1 Stycznia 1885 r. 5) Z fundacyi Kaspra Bieleckiego dla uczniów uniwersytetu krakowskiego, cztery nagrody: 160, 100, 80 i 60 zhr. Zadanie dla pierwszej: *Król Jan III w poezyi polskiej XVIII w.*; dla trzech in-nych — dowolne z wydziału filologii.—Konkurs imienia Kopernika na zadanie: *O sposobie wylicze-nia biegu ciał niebieskich*, skończył się już w d. 31 Lipca r. b.; wyniki nie znamy.

— Koło Artystyczno-Literackie w Krakowie otwiera szranki współzawodnicze dla wszystkich, którzyby chcieli napisać „dokładny i krytyczny ży-ciorys” Adama Mickiewicza. „Życiorys” ten poj-muje Koło jako uporządkowanie szczegółów życia naszego wieszca — a zatem nie życiorys we wła-sciwym znaczeniu, tylko krytyczne wysianie prawdy z całego zasobu wiadomości o Adamie. Stu-dyum takie ma ogarniać cały byt ziemski poety, od kolebki aż do grobu. Dokładność, treściwość, przystępność, poprawność stylu i czystość języka: oto przymioty wymagane od prac, mających ze sobą współzawodniczyć. Autor najlepszej pracy otrzyma 500 zhr., oraz 15% od ceny netto każdego egzemplarza sprzedanego. Nakład podejmuje sa-mo Koło i waruje sobie prawo użytkowania na lat 5. Obszerność nie ma przenosić 12 arkuszy druku. Do komitetu oceniającego weszli: Anczyk, Asnyk, Bałucki, Bartoszewicz, Bełcikowski, Chmielowski, German D-r, Małecki, Pawlikowski, Polkowski, Smolka, Stanisław, Tarnowski. Na

tej liście spotykamy jedno nazwisko, które powin-no być w szeregu współzawodniczących stanąć. Gdyby tylko człowiek nazwisko to noszący chciał się zająć owem wysianiem prawdy, które cel kon-kursu stanowi, zyskalibyśmy niewątpliwie pracę trwałej wartości. Sądzymy, że i konkurs byłby niepotrzebnym, gdyby się wprost do kogo należało, zwrócono, zapewniając dostarczenie wszelkich ma-teriałów, zwłaszcza od rodziny pochodzących. Bez świadectw przechowywanych w rodzinie Mic-kiewicza, w pamięci jego dzieci i w archiwach do-mowych, nie podobna będzie prawie wykonać tego, czem Koło Artystyczno-Literackie w Krakowie za-mierzyło sobie wzbogacić piśmiennictwo nasze, a przez nie i samo społeczeństwo. Dlaczego do ko-mitetu nie wszedł nikt z Poznańskiego i z Prus? Uderza też brak uczestnictwa ze strony Estrei-chera.

— Siostrzenica Szopena, p. Ludwika z Jędrze-jewiczów Ciechomska, w liście do *Kuryera War-szawskiego* z d. 5 Sierpnia r. b. w N. 177 tego pisma zamieszczonym opowiada skon Szopena w sposób całkiem odmienny niż to uczynił p. Karasowski we wspomnianem niedawno tutaj dziele swoim (T. II, str. 195—202). Posłuchajmy wiarogodnego świadectwa:

Ostatnie mieszkanie Szopena w Paryżu było przy Placu Vendôme Nr 12: ztąd już nie wy-szedł, aż w trumnie. Nie tęsknił do śmierci, jak pisze p. K., lecz przeciwnie nawet się stanu swego nie domyślał i chciał jeszcze zimę przepędzić na południu. Dopiero przed samą śmiercią poznał przerażającą prawdę i raz jednego powiedział: „Niedługo się to już skończy”. Pani Ludwika Jędrzejowiczowa i młodzieńca jeszcze wówczas córka jej, autorka listu, wraz z księżną Marcel-liną (Czartoryską) nie odstępowały ani na chwilę łóża chorego. Gutman nie był wcale w Paryżu wtedy, kiedy Szopen umierał; nie mógł więc dźwigać go i podnosić na śmiertelnej pościeli. Śpiewy żadne przy skonię samym nie rozlegały się; na kilka dni tylko przedtem zaśpiewała mi-strzowi Delfina Potocka jakąś arya Belliniego, tę samą, którą poprzednio wykonała była głośna wówczas w Paryżu pani Sartorius. Śpiew Del-finy odbywał się, nie w komnacie śmiertelnej, ale w przyległym pokoju. Śpiewaczka sama sobie akkompaniowała.

Na parę dni przed śmiercią Szopen spowiadał się i przyjął ostatnie namaszczenie, pożegnał się ze światem i pobłogosławił otaczających jego łó-że. W tej bolesnej chwili nie było, ani panny Eli-zy Garard ani Franchomme'a, o których pisze p. K. Uroczystość śmierci odbyła się z nastrojem religijnym, ale bez tej pompy poetycznej, w którą od czasów Liszta stale wierzone. Księżna Mar-cellina odmawiała litanii za konających; obecni odpowiadali antyfoną.

Pani Sand nikogo nie przysyłała, nie dowiady-wała się wcale o zdrowie Szopena.

Jedno tylko rozporządzenie przedśmiertne wy-szło z ust mistrza pieśni: to, aby serce jego prze-wieźć do kraju.

Przytomność nie opuszczała konającego, opu-szczały go tylko siły coraz bardziej, coraz groź-niej. D. 16 Października (1849 r.) o god. 11-ej wieczorem wchodzącego lekarza Cruveillé powitał słowami: „Ne vous fatiguez-pas, monsieur, je vous débarrasserez bientôt”, cofnął mu rękę ujętą dla zbadania pulsu — i nie wymówiwszy ani słowa, przymknął oczy. W trzy godziny później już nie żył. Umierał cicho, bez cierpień. Ostatnie jego słowa były: „Matka, moja biedna matka!”

— Komitet wydania pamiątkowego dzieł *Jana Kochanowskiego* nadesłał nam dla ogłoszenia w *Bluszczu* następującą odezwę:

„Na liczne zapytowania co do znaczenia dwóch „edycji dzieł Jana Kochanowskiego i lwowskiej „Altenberga i Krakowsko-warszawskiej Koziań-skiego i Centnerschwera (właściwie Kazimierza „Bartoszewicza) niżej podpisani czują się w obo-„wiązku oświadczyć, iż te z pomnikiem wyda-„niem dzieł tego poety, których druk rozpoczyna-„my, nie wspólnego nie mają.

„Józef Przyborowski, Ludwik Jenike, Ad. Ant. „Kryński, Roman Pleniewicz, Tadeusz Włoszek“.

Odezwa ta jest w słowa dyplomatyczne ubraną, ale w gruncie bardzo stanowczą i bardzo słuszną protestacją przeciwko spekulacji, która niedba o interes ogólny, byle się tylko jej samej dobrze działo. Interes, o którym mówimy, nakazuje je-dnoczyć siły, aby wydanie pamiątkowe było rze-czywistym pomnikiem wzniesionym dla Jana z Czarnolasu przez pokolenie dzisiejsze. Nietylko pod historyczno-literackim względem wydanie to powinno być jaknajlepszym, ale i jako *res in com-mercio* w społeczeństwie powinno doznać jak naj-większego powodzenia. Czyż będzie to obchód godny tyłomilionowego narodu, jeżeli się *post festum* zostaną nierozkupione egzemplarze? Piękny mi pomnik, na który nie chcą patrzeć, od którego uciekają! A taka ostateczność grozi, jeżeli spe-kulacja będzie zabiegała drogę i rzucała kije pod nogi ludziom pragnącym właśnie upamiętnić trzy-stolecie skonu Kochanowskiego w sposób najod-powiedniejszy, bo przez wydanie dzieł zupełne a krytyczne. Trudno od ludzi wymagać, żeby byli aniołami. Wprawdzie wydanie pamiątkowe bę-dzie w jednym odbiciu swem bardzo tanie, ale ma-jąc dziś już rzecz niedrogą a gotową, ten i ów za-opatrzy się w nią i nie zechce czekać na to, co do-piero za rok ma się ukazać. Jedynie właściwem zachowaniem się naszego wykształconego ogółu byłoby pozostawienie obu wydań spekulacyjnych na półkach księgarskich. Z wydaniem lwowskiem można będzie bez żalu to uczynić; zaleca je tylko papier, druk i okładka; to, co na papierze wydru-kowano, nie ma wartości żadnej, a raczej ma ujemną; pokazuje, jak Kochanowski w XIX w. nie powinien być przedrukowywanym. W wydaniu krakow-skim widać więcej staranności o zawartość, o duszę książki, niż o jej ciało, o okładki, papier i druk. Kto prowadzi to wydanie: czy sam p. Bartosze-wicz K., czy kto inny, o tem nas karty tytułowe nie objaśniają, a przedmowy nie dano wcale. Wy-danie to nie mogło sobie jakoś znaleźć stosownej etykiety. W tytule pierwszego tomiku czytamy: *Jan Kochanowski, Dzieła T. I, Warszawa, G. Cen-tnerschwer*; a z drugiej strony: *nakładem i dru-kiem A. Koziańskiego w Krakowie*. Tytuł drugiego tomiku wprowadza nas już na inne pole; stoimy wobec VII t. *Wydawnictwa Kazimierza Bartosze-wicza*; tytuł ten oznajmia już wszem wobec, że *Dzieła J. Kochanowskiego* wychodzą nakładem K. Barto-szewicza, a drukiem A. Koziańskiego w Kra-kowie.

— Od czasu ostatniej naszej wzmianki o *Sło-wniku geograficznym* p. p. Sulimierskiego i Chle-bowskiego (Nr 10 *Bluszcza* z r. b.) przybyło do niego siedm nowych zeszytów; wrześniowy XXIII od początku wydawnictwa, doprowadza T. III do str. 720 i kończy się na miejscowości *Kalusz*. Sta-rannością opracowania i zasobnością treści zwraca-ją na siebie uwagę następujące artykuły, po-czawszy od zeszytu XXVII.

Kalisz w części historycznej starannie opraco-wany według monografii p. Biernackiego w *Ency-klopedyi* wielkiej Orgelbranda. Oprócz miasta sa-mego znajdujemy tu jeszcze gubernię, powiat, da-wne województwo i departament. Podobnie od-znacza się *Hrubieszów* przez p. p. Gustawicza Bronisława i Chlebowskiego Bron. na podstawie wiadomości dostarczonych przez p. Grothusa Gu-stawa. Najcenniejsze są tu szczegóły o Towarzystwie Rolniczem Hrubieszowskiem, prawdziwie mądrej w urzędzeniu, a wielkiej w zamiarach fun-dacyi Staszica. Każdego pocieszyć musi zape-wnienie, z tak dobrego źródła wyszłe, że instytu-cja staszicowska pomyślnie się rozwija i nie do-znała losu fundacyi Brzostowskiego w Sztabinie Augustowskim.

Dalej idą: *Hostoml*, *Humah*, *Jasnohorodka*, *Ka-horlik* i *Kalnik* (w pow. Lipowieckim na Ukrainie) pierwszy przez p. Gustawicza, cztery inne przez p. Rulikowskiego Edwarda, jednego z najgorliw-szych współpracowników *Słownika* i prawdziwie gruntownego znawcy kraju i przeszłości Rusi; *In-flanty* przez p. Manteuffla, którego opis Inflant z r. 1870 stanąć może obok najpierwszych wydawnictw europejskich w tym rodzaju; *Jadźwingi*, artykuł etnograficzno-historyczny, pióra p. Świeżawskiego Ernesta, odbijający korzystnie od skąpego ar-tykuliku *Huculi*; *Jaszczurówka*, jedyna cieplica na ziemi polskiej, w okolicach Zakopanego; *Jawornik*

w pow. Myślenickim w Galicyi zachodniej i *Jawor-ryńska*, rzeczka na Spżu,—wszystkie trzy przez p. Bronisława Gustawicza; *Jaworów* pod Lwowem i *Jasłowiec* w pow. Buczackim w Galicyi przez p. Ludwika Dziedzińskiego, nauczyciela we Lwowie; *Jama kościelna*, *Jansbork*, *Jasieniec*, *Jeziorany*, *Kadyny* z ziemiami pruskimi przez X. Fandikejskiego, z wielką sumiennością, z rzetelnym oddaniem się przedmiotowi napisane. Autor od początku wydawnictwa zasila je cennymi swymi pracami.

Z całości wyróżnić jeszcze potrzeba *Jarostaw* i *Janów* pod Gródkiem w Galicyi, *Janów* lubelski, *Jarmolnice* podolskie, *Thumeń* na Litwie, w gubernii Mińskiej (przez p. Alex. Jelskiego), *Jurborg* na Żmudzi, *Inowrocław*, *Husiatyn*.

W Królestwie mało miejscowości cieszy się takim opracowaniem, w jakim występują: Galicya, Ukraina, Prusy Wschodnie i Zachodnie. *Jedlina*, *Jedlińsko*, *Itza* (przez p. Chlebowskiego), wreszcie *Kacice* w Miechowskim: oto prawie wszystko co, oprócz *Hrubieszowa* i *Kalisza*, uwagę naszą na siebie zwróciło. Zawiele tu jest szczegółów gospodarczych, majątkowych, które ani dla dzisiejszego czytelnika, ani dla przyszłego badacza wagi mieć nie będą. Pożądaną, zapewne, jest statystyka rolna, ale podawanie n. p. wysokości wysiewu uważamy za zbędne; wskazanie dokładne obszaru gruntów uprawianych najzupełniej-by wystarczyło.

W wydawnictwie takim, jak *Słownik*, opuszczenia, błędy i pomyłki są nieuniknione; ci sami, którzy w nieumiarkowanym tonie wytykają zbrocenia, sami-by się ich dopuszczali, gdyby podjęli wydawnictwo w tak trudnych warunkach, jakie ma *Słownik*. Żywimy uzasadnioną nadzieję, że w ostatnim tomie dzieła znajdą się obok niezbędnych dopełnień, także i nieodbite sprostowania. Jeżeli jeszcze okoliczności umożliwią wydanie wielkiej mapy sekcyjnej obszarów opisywanych, powszechność nasza otrzyma w *Słowniku* dzieło, na które umysły poważniejsze oddawna czekały. Można mu będzie bez uniesień, pomimo wszystkich jego usterek nadać nazwę, jakiej tak trafnie użył prezes Akademii, a wdzięczne uznanie należące się będzie, nie tylko tym, którzy podjęli nakład i prowadzili ster, ale i wszystkim współpracownikom, w których zamiłowanie przedmiotu silniejsze było od wszelkich innych pobudek. Jednemu wymaganiu krytyki, bezzwłocznie i bezwarunkowo zadość stać się musi. Wiele drobnych artykułów czuć surowizną; nie widać, aby po nich przeszło pióro redakcyjne: na przyszłość potrzeba tego unikać. Zdaniem naszym stałą zasadą rządzącą układem *Słownika* powinna być jednostajność schematu; we wszystkich artykułach znajdować się muszą wiadomości jednorodne, a z istoty swej niezbędne. Pożądaniem byłoby liczbowanie każdej nazwy; ale gdy odrazu do pierwszego zeszytu porządku tego niewprowadzono, nie czas już wprowadzać go do dalszych.

Słownik rośnie w ogromne dzieło; z zamierzonych sześciu tomów robi się już ósm, a każdy po 60 arkuszy in 8-o max. W końcu Lipca posiadała redakcja na samą literę K 20,000 artykułów na 100,000 osobnych kartek. Nie potrzeba mówić jakiej umiejętności wymaga, jakie trudności przedstawia, zawładnięcie tak ogromnym materiałem. Litera K jest najobfitszą ze wszystkich. W zeszytach obecnie rozpatrywanych największej liczbie miejscowości służą nazwy *Huta* i *Józefów*.

Słownik wychodzi z wielką prawidłowością co do czasu: każdego 1-go można być pewnym otrzymania zeszytu. Z powodu wielkiej obfitości nazw zaczynających się na K. Redakcja ostrzegła z góry o opóźnieniu zeszytów obecnie wychodzących. Opóźnienie to zresztą jest niewielkiem; zeszyt za Wrzesień XXXIII otrzymaliśmy d. 13 t. m., a XXXIV ukaże się po pierwszym Październiku.

— *Encyklopedia wychowawcza* wychodzi bardzo wolno, ale ta powolność tylko na dobre wyjść jej może. Dzieło, które ma na całe jedno pokolenie ludzkie wystarczyć, powinno być jaknajlepiej opracowane. Pisaliśmy tu już tyle razy o tem użytecznym wydawnictwie, które zrodziła, pielęgnuje i prowadzi myśl obywatelska: znaczenia też jego i ważności obecnie jeszcze wykazywać nie

potrzebujemy. Zbytecznym także byłoby powtarzanie uwag szczegółowych nad układem i zawartością dzieła, wskazywanie tego, co w encyklopedyi wychowawczej nieodbycie znajdować się musi a co bez przeniewierzenia się myśli-rodzicielce poza obrębem wydawnictwa pozostawić można. Redakcja niedostatecznie według nas pamięta o tem, że „wychowawcza“ nie znaczy „powszechna“ ani „filozoficzna“ lub „historyczna“, i że to tylko, co w wydawnictwie przez nią prowadzonym znajdować się powinno, co ściśle do zakresu pojęć, faktów i wiedzy pedagogicznej należy. Z tego powodu wszelkie artykuły obszernie, samoistnie traktujące filozofią i historią nauk, jak *Arytmetyka*, *zdolnego* a *zmarłego* tak wcześnie w b. r. w Warszawie, Trybalskiego, jak *Algebra*, *Alchemia* i sama wreszcie *Chemia* w zeszytach ostatnim, VII T. II, w *Encyklopedyi* prawa pełnego obywatelstwa mieć nie mogą. Tożsamo o niejednym jeszcze artykule z dziedziny życia lub wiedzy powszechnej powiedzieć potrzeba. Czy Redakcja uwagi nasze kiedykolwiek uwzględni, czy nie: wypowiedzenie ich w swoim czasie, a przypomnienie obecnie, uważaliśmy i uważamy sobie za obowiązek.

Ozdobą najnowszego zeszytu jest artykuł D-ra Lutostańskiego Bolesława z Krakowa o *Chorobach*. Są one 1) przeciwskolne, niepozwalające stale lub chwilowo uczęszczać do szkoły, 2) wyradzające się w szkole czyli *szkolne* i 3) zaraźliwe. O wszystkich mówi Autor z wielką szczegółowością, jasnością i siłą przekonania; przytacza statystykę (wprawdzie nie naszą) przepisuje wiele zasad dla pedagogów i daje dobre wskazówki co do sposobów wprowadzania ich w życie.—Rzeczy ojczyste spotykamy w artykułach *Chojnacki* i *Chreptowicz*. Pierwszy jest bardzo słabo opracowany; przeciwnie o drugim dopiero rozpoczętym, mamy uzasadnioną nadzieję, że nam ukaże w pełni postać meża tak zasłużonego w wychowaniu publicznem XVIII wieku. Życiorys Chr. wyszedł z pod pióra p. Chmielowskiego. Wydrukowany dotychczas początek odznacza się źródłowością, ścisłością i zwięzłością, tym najkardynalniejszym przymiotem wszelkich artykułów encyklopedycznych, które mają dobrze z zadania swego się wywiązać.

Chiny przez p. J. A. Święcieckiego, od początku do końca napisane są bardzo zajmująco; autor starał się nie wyjść poza linię, i dać tylko obraz samych pojęć pedagogicznych i stosownia ich w życiu. Obrazowi temu warto się przyjrzeć. Artykuł p. S. wypłynął ze źródeł zagranicznych, podanych w wielkiej ilości przy końcu.

ŻYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

Idąc ulicą, rozważałem: *Kon-dzon-go-ryo*, dziewięćdziesiąt pięć piastrow, to trochę drogo, ale co za skarb! Zbroja żelazna kuta, wykładana złotem i srebrem, zbroja kompletna z naramiennikami, nagolennikami, przyłbicą: jednym słowem: pyszna całość! Ale dziewięćdziesiąt pięć piastrow to czyni... sumę szaloną pięćset franków! Trudno! niema co myśleć nawet, jednakże takie przy niej pyszne ozdoby z błękitnego jedwabiu przetykanego srebrem; rzecz niezaprzeczenia starożytna wielkiej wartości, bo przecież oddawna już Japończycy przestali wyrabiać żelazne zbroje; ta zachowana tak doskonale. Co za śliczne cacko dla przywiezienia do Francji! Tylko znów summa pięćset franków przedstawiała całą moją półroczną pensją. Nie, rzecz niemożliwa.

Nazajutrz zachorowałem i nie wolno mi było wychodzić z pokoju. Pewnego wieczora, doktor, także zapalony amator cacek—rzekł do mnie, powróciwszy z miasta:—Czy targowałeś przed paru tygodniami zbroję?

— Tak—odpowiedziałem.

— Poznałem cię po rysopisie, skreślonym przez kupca; ileż chciał za tę starzyznę?

— Szaloną cenę.

— Otóż, jeżeli chcesz, obniżę ją znacznie; polecono mi zachęcać cię do powrotu.

Nie mogłem jeszcze wychodzić i dopiero po tygodniu udałem się znów na ulicę Benten. Ujrzawszy mnie, właściciel zbroi nie mógł ukryć zadowolenia; wyciągnął manekina na środek sklepu, przedstawiając towar najkorzystniejszy, jak tylko mógł.

— Daremnie czas tracisz — rzekłem do niego, nie stać mnie na zapłacenie dziewięćdziesięciu pięciu *ryo*.

— Ustąpię coś.

— Słucham.

— Ostatnia cena sześćdziesiąt pięć *ryo*.

— Nie chcę.

— Więc ile pan dasz?

— Akurat sześćdziesiąt *ryo* mniej.

— Żartujesz pan zapewne.

— Wcale nie.

— Tem gorzej.

Pojmując jednakże, że za cenę piętnastu *ryo* nie mogę się nie spodziewać, dodałem:—Zresztą, żeby już raz skończyć tę gadaninę, dam dwadzieścia *ryo*.

— Nie mogę.

— Więc bądź zdrow.

Czułem, że mego Japończyka mam już w ręku, tembardziej, że dowiedziałem się od jednego kupca mego przyjaciela, iż owa zbroja, obecnego jej posiadacza, nie musiała więcej kosztować nad piętnaście do dwudziestu *ryo*, a nawet i mniej może, i że chętnie-by się jej pozbył ze względu na nadchodzące święta i groźne zawsze wypłaty, przypadające w dzień Nowego Roku.

Było to, zdaje mi się, d. 30 Grudnia. Pierwszego Stycznia w południe, przechodziłem około sklepu; okiennice były na wpół przymknięte, ale z wnętrza dochodziły wybuchy głośniejszych śmiechów: podsunąwszy się nieznacznie, ujrzałem liczne towarzystwo siejące na matach, pośród masy małych talerzyków i fiaszek z *saki*.

Dobrze! pomyślałem, jutro dla zapłacenia kosztów uczyt będzie szczęśliwym i wielce zadowolonym, sprzedając zbroję za cenę przystępną: będę więc mógł zadowolić bez skrupułu moje pragnienie.

W istocie: gdy przyszedłem do sklepu nazajutrz około godziny czwartej po południu radość dnia poprzedniego zastąpił ponury smutek. Nie poruszono się nawet z miejsca na moje przybycie. Usiadłem, właściciel sklepu, grzejąc się przed piecykiem, zdawał się być pogrążony w myślach wcale nie wesołych.

— No i cóż—zapytałem—a moja zbroja?

— Jest tam, jeżeli ją pan chcesz wziąć.

— Czy namysliłeś się na cenę nie tak śmiesznie wygórowaną?

Japończyk, po rozlicznych wykrzywianiach, przybrał komiczną minę i rzekł wreszcie półgłosem:—czterdzieści *ryo*, nie mogę mniej.

— Poruszyłem głową przecząco.

Kupiec nie odpowiedział nic i zapadł znów w rozmyślanie. Po chwili jednak wstał, wziął ogromną księgę, z wielkim szelestem przewracał w niej karty, wiodąc po nich palcem, wreszcie liczył na *sorobanie*, przesuwając długo nawlezione na druciki kuleczki i znów *soroban* odłożył, ogrzał ręce, wypalił fajkę, poczęstował mnie, z uśmiechem, filiżanką herbaty, przesunął ręką po głowie, wreszcie rzekł:—Zbroja, którą pan targujesz, kosztuje mnie trzydzieści pięć *ryo*, zadowolę się zyskiem jednego *ryo* i oddam ją panu za trzydzieści sześć *ryo*;—*goruszyka?* ¹⁾.

— Iya ²⁾.

Wiedziałem już teraz napewno, że jeżeli mój Japończyk przyznawał się do 35, to kłamał co najmniej o 15 *ryo*. Te przedmioty zbytku, w czasach nędzy były niekiedy oddawane przez zubożających *Samuraj* za kawałek chleba.

Nowe uzbrojenie wojska odejmowało im całą

¹⁾ Czy dobrze?

²⁾ Nie.

handlową wartość i tylko jeszcze upodobanie Europejczyków do tego rodzaju zabytków nadawało im jakąś wartość artystyczną.

Tymczasem wszedł do sklepu młody człowiek, niosąc sporą paczkę jakichś zeszytów i listów. Nowoprzybytemu złożono głęboki pokłon; podano mu wszystko, co się podaje znakomitemu gościowi: fajkę i herbatę, następnie rozprawiano długo, wreszcie pudełko zawierające pieniądze wypróbowano w ręku młodzieńca, którego twarz wyrażała jednak mocne niezadowolenie.

Podczas tej sceny namyśliłem się: budżet mój w owej chwili pozwalał mi na zadowolenie fantazy, pociągającej za sobą wydatek 25 piastrow; a nie mogłem lepiej spożytkować pieniędzy, jeno nabywając owę, tak upragnioną zbroję. Traciłem gospodarza w ramie; zwróciłem się ku mnie, nie przestając rachować—zawahałem się chwilę, wreszcie rzekłem: — Słuchaj mnie uważnie i namyśl się dobrze nad odpowiedzią, gdyż będzie to ostatnie moje słowo: daję dwadzieścia pięć *ryo* i płacę gotówką¹⁾.

— *Goruuszy* — odpowiedział zeicha z niewysłowioną pantomimą.

Wypłaciłem natychmiast 25 dolarów amerykańskich; w miarę, gdy je układałem na macie, kupiec jakgdyby miał wstręt jakiś do tych pieniędzy, które miały u niego pozostać, odsuwał je końcem wachlarza ku młodemu człowiekowi, siedzącemu naprzeciwko — ten zaś, przeliczywszy raz jeszcze moje *dollary*, zgarnął je do woreczka zawierającego już pieniądze, dał kwit i wyszedł.

Zachwycony byłem nabytkiem, a w gruncie i mój kupiec także, do czego miał wyborny powód; bo jak się dowiedziałem później, sławna owa zbroja, dzięki której mógł zapłacić komorne, pozostawioną mu była poprzedniego roku, przez jakiegoś *ex-Samurai* w potrzebie, za cenę czterech piastrow. Po większej części w ten sposób można kupna dokonywać—tylko należy mieć cierpliwość i korzystać z okoliczności. Naturalnie: mówię tutaj o kupnie antyków, niemających stałej ceny; przedmioty zaś nowe, pomimo ich znacznie niższego gatunku, sprzedają się zwykle daleko drożej.

Barrot zatrzymał się chwilę, popijając wodę z cukrem, a Harles, korzystając z przerwy—rzekł:

— Nie przeczę urokowi, jaki mieć mogą cacka, ale przyznaję się, że mnie nie wystarczyłoby to do szczęścia. Czy niema innych rozrywek w tym pogańskim kraju?

— Widzę co cię niepokoi—odparł Barrot—nie troszcz się. Będiesz mógł zadowolić skłonność twoję do pocisków, skoro zechcesz; stawia cię go-dnie czołe panowie *rifleman* i *myolungi*.

— A stosunki towarzyskie? — zagadnął Gastinet.

Szangaj podczas zimy jest miastem nader przyjemnym dla pragnących rozrywki: obiady, bale, zabawy, następują po sobie niemal bez przerwy. W lecie za to śmiertelna nuda unosi się nad koloniami. Tylko urzędnicy i drobni kupcy nie emigrują ku stronom żóńniejszym do pobytu. Kobiety wszystkie wyjeżdżają ku *Thefu* i nie wracają aż we Wrześniu.

W Japonii życie jest więcej domowe; zbierają się, lecz w kółka dobrych tylko znajomych, co, podług mnie, jest również przyjemnem.

W Chinach prawie wszyscy Europejczycy osiedli mają rodziny. I nie rzadko się widzi młodych ludzi żądających po kilkoletnim pobycie urlopu, by odpłynąć do Europy, a w cztery miesiące później każdy z nich powraca z żoną.

Amerykanki, dziewczyny rozumne i praktyczne, oszczędzają tego trudu swym narzeczonym. Skoro małżeństwo zostanie ułożonem przez korespondencyą, puszczają się śmiało w podróż i pewnego pięknego poranku, mając za całą opiekę męzkę wychowanie, jakie otrzymują, po pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu-dniowej podróży spadają w objęcia małżonka, znanego im zaledwo ze stylu i fotografii.

Oryginalny zwyczaj — nieprawdaż? Tak, ale zwyczaj logiczny, skoro postawiono raz tę zasadę,

że czas, to pieniądz, a małżeństwo taka sama transakcja, jak każda inna.

Konieczność życia domowego daje się tem bardziej uczuć, że stan kawalerski naraża na wiele przykrości i niewygód. Życie hotelowe kosztuje bardzo drogo, a wcale nie jest przyjemnem. Dlatego też niemal wszyscy bezzenni w Yeddo, a więcej jeszcze w Szangaju i Jokohamie, prowadzą gospodarstwo u siebie. Rzecz to konieczna.

Każdy tu musi trzymać służbę z kilku osób złożoną, bo ani myśleć o tem nawet, by tak, jak to bywa we Francji w rodzinach mniej zamożnych, wykonała wszystko jedna sługa. Zresztą, kobiety po większej części są nieznośnymi w służbie. Chinka z małenkimi nóżkami jest jeszcze zpośród nich najlepszą, lecz narodowy zwyczaj uczynił ją niemal kaleką, więc czynną być w służbie nie może; jednakże w Szangaju, gdzie dzieci zwykle całe gromady, chętnie ją godzą jako niankę.

Japonka ze swą powabną twarzą, jest wprost niemożliwą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Wystawa żywych piękności, zatem wystawa jakiej nie było dotąd w Europie, odbyła się w Peszcie, na *Wyspie Palatyna*, podczas zabaw ludowych, odbywających się w dzień św. Stefana, patrona Wę-gier. Scisk ciekawych był przytem tak wielki, że wystawczynie własnej urody, których było 150, z trudnością mogły się dostać przed areopag są-dzący; według pism węgierskich przedstawiały one wszystkie klasy towarzyskie, przeważnie jednak pochodziły z klas wyższych. Przystępowały przed sędziów pojedynczo, zatrzymując się chwilę przed stołem, który je od nich oddzielał, potem cofały się poza otwarte i czekające na nie podwoje, znajdujące się obok sali, wymieniwszy poprzednio nazwisko, które zapisaniem zostawało. Niektóre przyzywano ztamtąd raz jeszcze, aż ostatecznie wystąpiły wszystkie razem na przegląd porównawczy. Dziesięć uznano za piękności szczególniejszego uwielbienia godne, i z tej liczby dopiero wybrano najpiękniejszą, szesnastoletnią pannę, Kornelię Szekely, córkę urzędnika. Przeci-eż ta najpiękniejsza nie jest podobno pięknoscią w wyższym tego słowa znaczeniu, rysy nie są klasycznie regularne, tylko wdziek ma być wielki w spojrzeniu i uśmiechu. Kornelia Szekely jest bardzo biała i różowa, ma owalną, drobną twarzyczkę, uściska małe, pełne, barwy korała, oczy złote a raczej, wyrażając się po staropolsku: pi-wne, włosy bujne, rudawo-kasztanowate. Nagrodą udzieloną jej jest: szeroka złota bransoletka, z bry-lantową różą i napisem: „Najpiękniejszej“, oraz data. Drugą nagrodę, także bransoletę wysadzaną brylantami, wzięła Irena Toronczy; trzecia, piękny złoty chronometr, dostał się Katiczy Koloczy. Każda z siedmiu pozostałych piękności otrzymała kosztowny klejnot, pierścione lub medalion z na-pisem: „Pięknej“. Chciano „Najpiękniejszą“ fo-rogrować natychmiast; przedstawiali się malarze, prosząc, aby pozwoliła im zrobić swój portret; redaktorowie pism narówni z sędziami nalegali na to: ale odmówiła wszystkim, i nie bez przyczyny. Da się malować, ale po pewnym czasie, w stroju stosownym, fantastyczno-narodowym, a fotografie zdjęte z portretu uczynią pięknosc jej znaną swia-tu. Że nie rzymskiego niema w tej Kornelii, to rzecz pewna i nie można też widzieć w niej nastę-pczyni tej, która zwyciężyła na górze Ida—Afro-dyta, stająca w wieńcu różanym przed Parysem, byłaby niewątpliwie dumna i zarumieniona—ucie-ka z tego szeregu 150 pięknych, które, otoczone tłumem ciekawych, przedstawiały sędziom wdzie-ki swoje w ścieśnionym ordyaku. Czy te piękne dosta-ają mężów? to pytanie, ale niewątpliwą już jest rzeczą, że w żadnej z nich nie zakocha się poeta. Aż żal pomyśleć, że to były kobiety węgierskie.

Angielska wyprawa do bieguna północnego, prowa-

dzona na parowcu *Eira*, przez uczonego podróżni-ka Leigh Smith, powróciła do kraju po pełnej przygód i niebezpieczeństw podróży, trwającej przeszło rok. Wyprawa była prywatna. Duch Normanów, żyjący dotąd w Anglikach, pchał ich pierwszych na odkrycie i podbicie sobie lodowa-tych przestrzeni północnego krańca ziemi, i teraz też, gdy inne narody poczęły współubiegać się z nimi w tym kierunku, poruszona ich ambicya każe im zdławić usiłowania *Eira*, doskonale do swego przeznaczenia zbudowany statek, uniosła śmiałych podróżników na morze dnia 14 Czerwca zeszłego roku; wypłynięto z portu Peter-head; za-miarem Leigh Smith'a było czynienie dalszych odkryć w Kraju Franciszka Józefa, za co już po-przednio otrzymał od Angielskiego Stowarzysze-nia Geograficznego złoty medal. W dwa miesi-ace po opuszczeniu Anglii *Eira* znalazła się u po-łudniowych brzegów Kraju Józefa Franciszka, zatapiając się w morze. Gwałtowny wicher rzu-cił nią tak o skały Przylądka Flory, że została przedziurawioną, rozdartą, bez możności naprawy! Zanurzanie się, zapadanie w wodę, było tak gwał-towne, że w przeciągu dwóch godzin statek po-grążył się na jedenaście sążni i trzeba było conaj-szybciej opuścić go, wyładować, mając przed sobą okropną perspektywę zimy podbiegunowej, z temi jedynie nieznacznymi zapasami, jakie zdołano po-chwycić, uciekając. Po zatopieniu się *Eiry*, prócz kilku sztab okrętowych, wypłynęła jedynie klat-ka z młodem niedźwiedziem podbiegunowym.

Osada statku nie upadła na duchu i siłach. Karność najlepiej pojęta, pomagała do tego i przy sprężystej a rozumnej komendzie, wzięto się ener-gicznie do pracy, która była już w tej chwili jedyną drogą ocalenia się od śmierci. Niemniej przepędzono szesnaście nocy pod namiotem, raz niemal że zatapani przez deszcz ulewny, to znowu trzymając się co sił w kupce zbitej i przytrzymu-jąc z wyteżeniem drażki i płótna namiotu, które szarpał wicher szalony. Po szesnastu dniach cięż-kiej pracy odetchnięto—przeniesiono się do domu, względnie wygodnego, który zbudowano sobie z kamieni i torfu; żagiel uniesiony z okrętu służył za dach. Żywić musiano się przeważnie fokami i mięsem niedźwiedzi, gotowaniem z jarzyna-mi i podawaniem trzyrazy dziennie w dwudziestu pięciu misach, zrobionych z pak blaszanych. Zna-leziono kilka pni drzewa, przyniesionego i wyrzu-conego przez morze, ale bardzo mało węgla zdoła-no ocalić z okrętu i palono też bardzo oszczędnie, używając głównie do tego tranu wielorybów, lub starych lin okrętowych. Gotowanie odbywało się wewnątrz domu: nieraz też gotujący musieli uciekać na otwarte powietrze, aby gryzący, przykry dym nie zadusił ich i nie zacządził. Aż nakoniec słoń-ce zaszło poza widnokrąg dnia 21 Października i ciemności, trwające do d. 23 Marca, otoczyły roz-bitków. Mróz dochodził, na odkrytem powietrzu, 44 stopni C. wewnątrz domu termometr spadł niżej zera, a dzikie wichry zasypywały nieraz cały bu-dynek śniegiem. Jedyne zajęciem i wzruszeniem wśród długich dni, tak ciemnych jak i noce, były napasici niedźwiedzi, wietrzących żer i usiłują-cych wdrzeć się do domu rozbitków. „Każdy niedźwiedź, dostrzeżony, musiał być zabitym, lecz biada strzelcowi, którego kula chybiłaby celu“, pi-sze Leigh Smith w dzienniku swoim i dodaje, że całem ich zbawieniem był pies, zabrany na szczę-ście z okrętu, bo z pewnością on każdego niedźwiedzia już zdaleka i dawał o nim znać. Przytem wierne zwierzę niejedną raz ocaliło rozbitków od śmier-ci głodowej, tropiąc foki na lodowiskach nad-brzeżnych, gdy brak tranu i pożywienia groził całej wyprawie niechybną zagładą. Wśród tych nędz i cierpień wielokrotnego gatunku osada *Eiry* trzymała się jednak duchem mężnie i kapitan okrętu, Lofley, zaświadcza, że nigdy nie było nie-posłuszeństwa, lub opuszczenia rąk z rozpacz. Aby jednak zrozumieć, co przenieść trzeba przez taką jedną zimę w położeniu, które wytworzyło się wyprawie, należałoby — zdaniem Lofley'a, przeczytać opis (Churchill's collection) tego, co zniosło siedmiu nieszczęśliwych żeglarzy, wyrzu-conych podobnie w 1643 r. na wyspę Amsterdam i inne podobne przejścia odnoszące się do historyi daremnych usiłowań kolonizowania Szpitzberga i wyspy Jan Mayen.

1) Zwykle się zyskuje na piastrach, zmieniając je na pienią-żo papierowy.

Nareszcie świt jakiejś nadziei zabłysnął biedakom. Silny wiatr w przeciagu dwudziestu czterech godzin czasu oczyścił z lodów morze, na którym ukazały się setki fok. Zebrano zapasów na dwa miesiące i w dniu 21 Czerwca cztery łodzie *Eiry* wypłynęły na morze, opuszczając Przylądek Flory, który rozbitki mogliby byli przezwyciężyć przyłaską nędzy. Ośmdziesiąt mil morskich przebyło szczęśliwie, nie spotykając lodów, lecz wkrótce rozpoczęły się nowe trudy i rozpaczliwa walka o życie. Łodzie bywały nieraz wyciągane na krę, gdzie musiały przez dni kilka czekać, aż morze oczyści się z lodów, gdyż zaciekanie było, aby je ciągnąć było można przez nie. Po sześciu tygodniach tych wysiłach i trudów nieopisanych wydosłano się znowu na otwartą dla żegluga morze i puszczono się z uniesieniem radości w kierunku *Nowej Ziemi*, drząc jednak przed wiatrem południowo-zachodnim, który silnie kołysał łodziami. Dnia 2 Sierpnia, to jest w dwadzieścia cztery godziny po wydosłaniu się powtórnie z pomiędzy lodów, wpłynęło szczęśliwie w cieśninę Matuszkina i nazajutrz rano nieszczeniwe rozbitki spotkali rodaków i zostali przyjęci na okręt angielski.

Angielskie dzienniki wystawiają losy i czyny wyprawy Leigh Smith'a, jak coś niedającego się porównać z niczem w dziejach żeglarskich Anglii. Takie jest zdanie Londyńskiego *Ateneum*. Od chwili osiedlenia się na Przylądku Flory bohaterką energią rozbitków wspierało dziwne szczęście, jak w relacjach złożonych ministerium marynarki przyznaje kapitan Lofley. Zabito i zjedzono dwadzieścia dziewięć fok i trzydziestu sześciu niedźwiedzi, które wyświadczały osadzie tę przysługę w danych okolicznościach ważną, że przez ustawiczne krążenie wkoło domu rozbitków utrzymywały ich w ciągłej czynności i zajęciu, co oddalało melancholię i nie dało umysłom pograżać się w myślach rozpaczliwych. Jakkolwiek wyprawa Leigh Smitha nie mogła osiągnąć żadnych naukowych korzyści, po które dążyła, jednak według zdania marynarzy angielskich, nie pozostaje ona bez pewnych praktycznych pożytków dla celu, który założyła sobie. Dowiodła najpierw, że każda wyprawa puszczająca się w dalekie strony północy, powinna składać sobie po drodze zapasy, których zapotrzebowanie może z powrotem; powtórne wykazała, że męstwo i odwaga rąk nieopuszczająca wyratować nas może z toni najcięższego losu. Zdaniem, w kierunku wiedzy żeglarskiej wyniesionem przez wyprawę Leigh Smitha jest to, że przy wszystkich wyprawach do bieguna północnego Kraj Franciszka Józefa powinien służyć za główną podstawę działań.

Zalanie wodą Sahary nie przyjdzie już do skutku. Przy rozbiórce tej kwestyi przez francuskie Towarzystwo Ekonomiczne, przychem i nasz ziomek, hr. August Cieszkowski wymownie głos podnosił, uznano już projekt za niepraktyczny, obecnie zaś komisyja, wyznaczona przez rząd, odpowiedziała inżynierowi Roudaire, że nawet częściowe zalanie Sahary byłoby przedsięwzięciem bez przyszłości i niepokrywającym kosztów.

Podziemne wsie w Kapadocyi, których zajmujący opis podaje w londyńskim „Ateneum“ angielski podróżnik, Wilson, należą do tych ciekawości naszego globu, które wykazują jak człowiek w obronie świętych sobie interesów umie być wytrwale mężnym i pracowitym — jak umie kopać się wzorem kreta pod ziemię, gdy nie może ptakiem wzbijać się do góry. Wsie, wyżej wspomniane, znajdują się o kilka godzin drogi od starego rzymskiego gościńca, wodzącego z Tyany do Cezarei i z Tyany do Angory, na północ od Nigdeh, rozsypane na wysoko wzniesionej płaszczynie. Jakkolwiek już dziś między zamieszkującą je ludnością jest nieco muzułmanów, jednak przeważnie i głównie jest ona chrześcijańska i dodziś dnia mówi jakimś barbarzyńskim dyalektem greckim, z pe-

wną domieszką naleciałości tureckich. Nazwy wsi, dziś tureckie, pochodzą jednak z greckiego, jak też mieszkańcy zowią je jeszcze między sobą. Pierwsza wieś, którą zwiedzał Wilson, zwana urzędowo: Hassakeui, jest *Axo*, druga: Melogob, *Malecopia* i tak dalej; Inegi to *Anaku*; Ninizi, *Nanzianzus*; Turhan, *Trecho*. Oile nazwy te są starożytne? Wilson nie wie, to tylko jest dlań pewnością, że to w obronie chrześcijaństwa i greckiej swojej narodowości ludność miejscowa dokonała zadziwiającego ukrycia się pod ziemię, czemu też zawdzięcza cudowne niemal zachowanie samoistności swojej wśród nawały tureckiej. Wilson zwiedzał szczegółowo dwie takie wsie, poczynając od Hassakeui, czyli *Axo*, gdzie na pierwszy rzut oka ujrzał jedynie grupę nędznych chat, lepianych z gliny, wznoszących się wśród nagiej płaszczyny. Przecież pod każdym z takich mieszkań, znajduje się dom podziemny, wykuty w skale, wulkanicznego pochodzenia, i wszedłszy do jednej z chat, podróżnik został poprowadzony przez odkryte przejście z glinianymi ścianami, do zamkniętego już kurrytarza, który spuszczał się coraz niżej, aż osiągnął głębokości dostatecznej, aby skała wytworzyła nad nim dach na trzy, do czterech stóp gruby. Wtedy kurrytarz ów zamykał się za pomocą wielkiego, okrągłego głazu, w kształcie ogromnej osetki, którą można było obrócić według woli w tę, lub ową stronę. Urządzenie jest tu zupełnie podobne do tego, które w Jeruzalem zamyka wejście wiodące do grobowców Królów Izraelskich, z tą jedynie różnicą, że tam kamień odmyka się zzewnątrz, tu zaś jedynie zewnątrz obrócić go można. W czasach zwyczajnych wejście stoi otworem, głaz jest w tył odsunięty i inny, stosunkowo mały, kamień, położony pod niego, utrzymuje go w tym stanie; gdy przecież przychodzi chwila niebezpieczeństwa, gdy mieszkańcy chaty górnej uciekają pod ziemię, mały kamień usuwa się, głaz obraca się i, zamykając przejście, zasłania się w zagłębienie, wykute w tym celu w skale, tworzącą ścianę przeciwną. Wszystkie te podziemia urządzone są według jednego wzoru. Najpierw wielka jedna przegroda, mająca pomieścić konie, woły i krowy, owce, osły, ze żłobami i komorami na siano, na zboże w ziarnie; dalej dwie albo trzy mniejsze, ale zawsze przestronne izby dla ludzi, z niszami na statki gospodarskie, odzież i zapasy pożywienia, wreszcie studnia, albo cisterna, zasilana przez wodę deszczową, lub śniegówkę. Skoro mieszkańcy znajdują się na powierzchni, woda czerpie się przez windowanie jej do góry, gdy zstępują do podziemia, otwierają małą kłapę w ścianie wodozbiornu. Podziemne domy łączą się ze sobą przez podziemne także przejścia, zwykłe zamknięte na kamienne zasławy, i jestto komunikacja tak doskonale urządzona, że gdyby jeden dom podziemny wpadł w moc nieprzyjaciela, mieszkańcy mogą się cofnąć do drugiego, barykadując przejście, którem uszli. Gdy tylko niebezpieczeństwo się zbliża, ludność cała ucieka w podziemia, zabierając ze sobą żywy inwentarz i co ma najkosztowniejszego i pozostaje tam, aż do chwili oddalenia się wroga, który, nieznajdąc nic przed sobą, uchodzi zwykle niedługo w inną stronę. Ostatni raz mieszkańcy Hassakeui kryli się tak we wnętrzu ziemi za czasów wyprawy Ibrahima Baszy, gdyż wojska tureckie ściągnięte przeciw Egipcjanom, dopuszczały się rabunków. W Hassakeui jest kościół poświęcony Ś-tej Makrynie, siostrze Ś-go Bazylego, która według podania, uchodząc za Cezarei, miała się tu schronić z dzieściołoma towarzyszkami i zamieszkiwać jedno z podziemi.

W drugiej wsi, zwiedzanej przez Wilsona, Melogob albo Melocopia, podziemne mieszkania są urządzone zupełnie wzorem opisanych poprzednio, z tą jednak różnicą, że wieś, ta położona już u stóp wzgórzy, ma na podgórzach winnice i w każdym też podziemiu znajduje się tłocznia do wyciska-

nia wina i oddzielny zupełnie loszek, przeznaczony na skład. Przytem urządzenie zapasów wody jest bardzo staranne i rozumne. Znajduje się tu pewna liczba studni, głębokich na 130 do 140 stóp, w których wody nie brak nigdy i z których każda należy do pewnej grupy domów w liczbie, od 12 do 20. W czasach zwyczajnych wodę ciągnie się ze studni sposobem zwykłym, i pierwszym porannem zajęciem kobiet wioski jest czerpanie wody, którą każda z nich nalewa do wielkiej kamiennej stągwi, stanowiącej własność jej chaty. Stągwie te wydają się bardzo starożytnymi i jest ich, ustawionych w koło studni, tyle, ile chat ma prawo czerpania tu wody. Każda z tych studni posiada w podziemiach jedno główne, prowadzące do niej, a na 50 do 60 stóp pod powierzchnią górnej wioski znajdujące się przejście, z którem łączy się tyle bocznych przejść, ile jest chat, z prawem czerpania tu wody. Melocopia ma również swój podziemny mały kościółek, do którego wejście zamyka się w taki sam sposób, jak i wstęp do innych podziemi, a według tego, co mówiono Wilsonowi, wieś ta łączy się z drugą, na trzy mile odległą, szerokim tunelem, w pośrodku którego znajduje się obszerny bazar.

Mówiono również Wilsonowi, że zupełnie podobne mieszkania podziemne znajdują się w sąsiedniej wiosce Inegi czyli *Anaku* i w innych, rozrzuconych dalej po płaszczynie, przytem dodaje on, że od strony północnej, gdzie bardzo głębokie wąwozy zostały wyżłobione w skale, stosunkowo dość miękkiej, znajdują się, naprzykład w Urkub czyli Prekop, bardzo ciekawe i szczególne podziemia, znane poniekać podróżnikom, którzy już wspominali o nich, opisywali je; ale cała ta okolica powinna-by stać się przedmiotem wyłącznie sobie poświęconych studyów, na które zasługuje. Mieszkańcy tych stron przedstawiają niemniej ciekawy przedmiot dla badacza, zdają się bowiem pochodzić w prostej linii od starożytnych Kapadocyjan i oryginalnego kształtu nosy, znajdujące się na prastarych pomnikach nie są wcale rzadkością między niemi. Zachowanie starego języka należy też do szczególnych w historii zjawisk. Nawała wieków, najeźdźców; wypadków, przechodziła po tej garstce ludzi górą, gdy oni umieli ukryć przed nią siebie i to, co im było drogie — w głąb.

Cała przestrzeń zawarta między Nigdeh i Kaisuriyeh jest przytem pełną w skale wykutych wsi i grodów — dodaje Wilson i wzmiankuje jeszcze, że w Gelvereh (nie dodaje drugiego, starego nazwiska), pokazywano mu w kościele ciało św. Jana z Nanzianzus i głowę św. Jana Chrzciiciela, spoczywające obok siebie w drewnianej skrzyni. W pobliżu wsi Nevshehr zwiedził Wilson osobliwie szczególną dolinę, w której znajduje się kilkadziesiąt skał ostrokątego kształtu, zawierających we wnętrzu swem mieszkania, grobowce, kościoły, podobne do widzianych w Urkob (Prekop), lecz o wiele wspanialsze i na większą skalę dokonane. Na nieszczęście żaden ze znikłych mieszkańców tych kamiennych domów, nie zostawił po sobie żadnego napisu. Że większa ich część pochodzi z czasów pierwszego chrześcijaństwa, uważa to podróżnik angielski za rzecz niewątpliwą, ale z drugiej strony sądzi, że znaczna ilość, szczególnie wiosek podziemnych, na samej płaszczynie, jest owiele starszą.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Na wybrzeżu.**

TREŚĆ. Teorya i praktyka w zawodzie nauczycielskim, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Felixa S***. — Nowiny paryżskie, (dokończenie). — Wiadomości naukowe, artystyczne i literackie. — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Сентября 1882 года.